



## Czarnopiórka



Czarnopiórka urodziła się na starej wpółuschniętej gruszy. Ale z tego pierwszego okresu dzieciństwa pozostały jej jedynie mgliste wspomnienia. Pamiętała tylko zielony dach liści rozpostarty nad gniazdem z przeglądającymi przezeń małymi skrawkami nieba. Czasem przez liście przebijały promienie słońca i wtedy Czarnopiórka razem z trojgiem swego rodzeństwa otwierała szeroko dziób i rozpościerała nagie nieopierzone skrzydełka. Ale najważniejszy wtedy był krzyk matki, gdy przynosiła im jedzenie. Cała czwórka wtedy wrzeszczała na wyprzódki:

— Mamo daj jeść, daj jeść, daj jeść!

A matka kolejno każdemu wtykała w rozdziawiony żółty dzióbek, to glistę, to pędzaka, to kawałek znalezionej gdzieś mięsa.

Ale pewnego razu Czarnopiórkę obudził krzyk matki jakiś inny niż zwykle. Poruszyła się, z przyzwyczajenia otwierając dzióbek. Ale matka nie przyniosła robaczka. Gniazdo było puste. Nie było ani siostrzyczki, ani dwóch braciszków — było zimno i straszno. Czarnopiórka wychyliła głowę z gniazdka i spojrzała w dół. Tuż przy ziemi, przeraźliwie piszcząc latała matka. Z góry widać było tylko jej lśniący granatowo - czarny grzbiet i białe łatki na skrzydłach. Rodzeństwo latało po ziemi, przewracając się co chwila i niezdarnie machając skrzydełkami. Obok stały jakieś dziwne olbrzymie stworzenia zupełnie nie podobne do sroki. Miały duże czarne nogi bez palców i bez pazurów i cienkie nieopierzone skrzydła. Skrzydłami tymi wzięły jednego braciszka, potem drugiego, potem siostrzyczkę i mimo przeraźliwego krzyku i płaczu mamy zabrały gdzieś z sobą. Czarnopiórce zrobiło się jeszcze straszniej i jeszcze zimniej, mimo że słońce przypiekało już silnie. Wtuliła się w kąt gniazdka i zapłakała:

— Mamo, jeść, jeść, jeść...—

Dużo czasu upłynęło nim matka wróciła wreszcie do gniazda. Piórka miała powyrywane a na piersi czerniała się zakrzepła krew. Nie zwracając uwagi na córeczkę usiadła, nisko opościła skrzydła i płakała. Czarnopiórka trąciła ją dzióbkiem raz i drugi. Wtedy matka odwróciła się do niej i powiedziała:

— Nie masz już ani braci ani siostr. Zabrali nasze maleństwa.

— Mamo, a co to za ptaki były? Patrzyłam na nie z góry i straszno mi się zrobiło. Czy one latają tak wysoko jak ty?

— Na szczęście nie latają wcale. Ale i tak dużo złego nam robią. To nie były ptaki, to byli ludzie.

I matka zaczęła opowiadać o strasznych stworzeniach, które chodzą po ziemi i nic więcej nie robią tylko prześladować sroki.

— Dużo mamy wrogów. Na przykład kot. Pilnuj się go zawsze. Minkę ma miłą i zawsze uśmiechniętą, ale to jest bardzo nie dobre zwierzę. Straszny też jest jastrząb i sowa — ale najgorszy z wszystkich jest człowiek.

Od tego czasu Czarnopiórka została sama z matką. Prędko nauczyła się latać i wyszukiwać sobie sama pożywienie. Wyrosła na ładną, zgrabną sroczkę o cienkim ogonku i długich czarnobiałych skrzydełkach. Znała już drogę do sadu, gdzie rosły lśniące czerwone wiśnie, i drogę do lasu, w którym mieszkała jej stara ślepa na jedno oko babka. Matka pokazała jej, w którym śmietniku najwięcej można znaleźć smacznych odpadków, nauczyła ją, jak z miski wielkiego psa wykradać kości i wreszcie pokazała jej największy skarb — schowek między kamieniami. Jakże tam było ślicznie. Leżało tam białe lśniące uszko od czajnika, kolorowe paciorki, kilka blaszek, kawałek kości i różne błyszczące kamyczki. Matka dumna była z tego swojego skarbcia i mówiła, że żadna sroka w okolicy nie posiada takich bogactw.

— Zbierałam je z narażeniem życia — tłumaczyła Czarnopiórce — Po te paciorki musiałam kilka razy latać. Leżały na oknie u człowieka. Nie lada odwagi trzeba było i męstwa, żeby je stamtąd zabrać.

Ale pewnego dnia i to szczęście się skończyło. Gdy Czarnopiórka pewnego wieczoru wróciła do gniazda nie zastała w nim matki. Matka nie wróciła ani w nocy, ani na drugi dzień rano. Czarnopiórka szukała jej wszędzie i na śmietniku i koło skarbcia i nawet koło domu, w którym mieszkało najstraszniejsze na świecie stworzenie — człowiek. Matki nigdzie nie było. Została więc sama i od tego czasu musiała sama nie tylko szukać pożywienia, ale i uczyć się trudnego — tak bardzo trudnego dla sroki życia. I nie miała nawet z kim roz-

mawiać, bo nigdzie w pobliżu sroki nie mieszkały a do babki do lasu za daleko było latać. Najbliższe otoczenie jej stanowiły jaskółki, ale o czymże można rozmawiać z ptakiem, który jest nie większy od skrzydła przyzwoitej sroki?

Mówiła im tylko grzecznie na powitanie:

— Trzrz... trzrz... trzrz... — co w sroczym języku oznaczało — „dzieńdobry“ a one jej odpowiadały po swojemu:

— Pjić, pjić, pjić — co znaczyło „Jak się masz? Śliczna dzisiaj pogoda“. Była wprawdzie jeszcze nie daleko kuzynka kawka, ale na nią nawet wróble patrzyły z pogardą i Czarnopiórka nie przyznawała się do żadnego pokrewieństwa z nią. Kawka była zdrajcą. Żyła w przyjaźni z człowiekiem, mieszkała w jego domu i jadła z jego ręki. Była zawsze syta, nie groziło jej żadne niebezpieczeństwo i miała skarbiec znacznie bogatszy nawet niż sroki. Ale nikt jej tego nie zazdrościł. Nikt nie odpowiadał, gdy próbowała zacząć rozmowę i wszystkie przyzwoite ptaki przy spotkaniu z nią odwracały się ogonami.

Pewnego dnia Czarnopiórka zauważyła, że jaskółki są jakieś niepokojne, piszczą i latają całą gromadą nad łąką za sadem.

— Nie długo pożegnamy się z tobą. Odlatujemy...

— Gdzie, gdzie, gdzie?

— Do ciepłych krajów, daleko. Zima nadchodzi. Zmarzyłyśmy tutaj.

— Chcę z wami lecieć do ciepłych krajów. Nie chcę tu zostawać sama — powiedziała.

Ale jaskółki pokręciły tylko głowkami.

— Nie można. Jeżeli chcesz lecieć, to leć razem ze srokami. Takie są ptasie prawa. Jaskółki odlatują razem z jaskółkami, bociany z bocianami, a sroki... nawet nie wiemy, czy odlatują w ogóle.

Nie było rady. Czarnopiórka pokręciła się jeszcze trochę nad polem i poleciała do lasu do babki. Po drodze zobaczyła rzeczywiście, że bociany również przygotowują się do odlotu. Ale z nimi nie próbowała nawet mówić. Nie знаła ani jednego bociana, przy tym bała się trochę ich wielkich czerwonych dziobów.

Długo latała po lesie zanim odnalazła gniazdo babki. Las zmienił się nie do poznania. Nie był już taki zielony jak wtedy, gdy przylatywała tu z matką. Na wielu drze-



wach liście pozółkły, grab poczerwieniał i z daleka wyglądał jakby się palił, tylko dąb zachował pierwotną zieloność i stał dumny i niewzruszony, jakby go nic nie obchodziły nadchodzące chłody.

Babka wysłuchała spokojnie żalów Czarnopiórki, potem przymrużywszy jedyne zdrowe oko powiedziała:

— Jak świat światem nigdy jeszcze żadna porządna sroka nie wloczyła się po świecie.

Cóż z tego, że zima? Wierz mi, wiele zim już przeżyłam i zdrowa jestem jak rydz i wcale nie jestem głupsza od ptaków przelotnych, chociaż nie widziałam ani Afryki, ani ciepłych krajów. Nie, moja kochana, wybij sobie to z głowy, sroka dobrze się czuje tylko u siebie w domu. Zostań u mnie na noc, jest tu kilka bardzo sympatycznych młodych sroczek, to cię z nimi zapoznam — będzie ci weselej.

W tej chwili na sąsiednim drzewie rozległo się skrzeczenie bardzo podobne do sroczego. Czarnopiórka rozumiała nawet niektóre słowa. Spojrzała w tę stronę. Wszystkie gałęzie wydawały się szaro-niebieskie tyle na nich siedziało sójek.

— Śmieszne ptaki — powiedziała babka — w jesieni ogarnia je jakiś szal. Wyobraź sobie, że zaczynają się przygotowywać do drogi. Wybierają się za morze. Cwiczą się, latają, gwałtu i krzyku robią co niemiara i... nigdy nigdzie nie odlatują. Poważny ptak nie zachowuje się w ten sposób. Trzeba wiedzieć co można a czego nie można.

Babka zaprosiła tego wieczora dużo ptaków do siebie i do późna w noc stary dąb rozbrzmiewał sroczym gwarem. Czarnopiórka bawiła się doskonale.

Od tego czasu Czarnopiórka nie nudziła się już w swoim gniazdku. Składała co dzień wizyty swoim nowym znajomym i przyjmowała je u siebie na gruszy i tak się tym zajęła, że nie zauważyła nawet kiedy jaskółki odleciały, liście z drzew opadły i zrobiło się zupełnie zimno. Ale to nie było wcale takie straszne. I Czarnopiórka czasami śmiała się sama z siebie, że chciała wybrać się daleko za morze.

Zofia Kwiecińska

# ŻABA PODRÓŻNICZKA

Była raz żaba — kumka: siedziała w błocie, łapała muszki i komary i pięknie głośno śpiewała w chórach z towarzyszkami. I byłaby życie przeżyła szczęśliwie, bo bocian jej nie zjadł, gdyby nie dziwny wypadek.

Raz siedziała nad brzegiem wody, rozkoszując się drobnym, gęstym deszczem.

— Ach jaka dziś piękna deszczowa pogoda — myślała — czy może być większa przyjemność jak deszcz?

Deszcz oblewał jej błyszczący grzbiet, grube jego krople spływały na brzuch, na łapki. Było jej tak miło, że zapomniała prawie, że to już późna jesień, że zbliżają się chłody i głody.

Nagle cichy, świszczący dźwięk rozległ się w powietrzu. To stado kaczek unosiło się w górze. Skrzydła ich przecinały powietrze, poświszcząc: fju, fju, fju. Ptaki opisały w powietrzu wielki krąg, spuściły się na ziemię, siadły koło tego samego błota, w którym żyła żaba.

— Krja! krja! — zawołała jedna z nich — droga jeszcze daleka, trzeba spocząć i posilić się.

Nasza żaba szybko zanurzyła się pod wodę. Chociaż wiedziała, że żadna kaczka nie mogłaby poćknąć takiej dużej tułostej żaby, na wszelki wypadek bezpieczniej schować się w błoto. Wkrótce ciekawość wzięła górę nad strachem. Chciała się jednak dowiedzieć co robią i dokąd kaczki lecą. Wysunęła głowę z wody i przysłuchiwała się uważnie.

— Krja, krja — zakwakała druga kaczka — zaczynają się na dobre chłody, trzeba się spieszyć na południe.

Wszystkie kaczki zakwakały przytwierdzająco.

jednak z natury była ostrożna, zapytała jeszcze.

— A much i komarów tam dużo?

— Och, całe chmary, odpowiedziała kaczka.

— Kwa! kwa! Weźcie mnie ze sobą, proszę żaba:

— Cóż znowu, jakże my cię możemy wziąć? Nie masz skrzydeł, nie możesz lecieć.



— A kiedy udajecie się w dalszą drogę?

— Zaraz, zaraz, — chórem odpowiedziały kaczki, — krja, krja, krja, tu chłodno! Na południe! Na południe!

— Poczekajcie na mnie pięć minut, na pewno coś obmyślę, powiedziała żaba. Zanurzyła się szybko w wodę, aby nic nie przeszkodziło jej zebrać myśli.

W pięć minut potem, kaczki gotowe były do odlotu, gdy nagle spod wody wynurzył się rozpromieniony pyszczek żaby.

— Dobrze, doskonale, już wiem — wołała. — Niech dwie z was wezmą w dzioby pręcik wierzbowy, a ja uchwyć się pręcika w środku, będziecie lecieć, niosąc mnie między sobą. Jeśli nie będziecie w drodze kwakać, ani ja nie będę rechotać, wszystko będzie doskonale.

Chociaż milczeć i dźwigać żabę trzy tysiące wiorst, Bóg wie po co, to mała przyjemność, kaczki tak były zdumione rozumem żaby, że jednogłośnie zgodziły się na jej pomysły. Postanowiły zmieniać się przynosząc co dwie godziny. A że kaczek było — jak to mówią w zagadce — tyle i jeszcze raz tyle i jeszcze pół razy tyle i jeszcze więcej, więc kolej dźwigania żaby nie wypadała zbyt często.

Znaleziono doskonałą wtkę wierzbową, dwie kaczki wzięły w dzioby jej końce, żaba przyczepiła się

pyszczkiem w środku i stado unosiło się w powietrzu.

Żabie brakło tchu od tej strasznej jazdy. Przy tym kaczki, niosące ją, nie leciały równo, szarpały wtką to w jedną, to w drugą stronę. Żaba biła się w powietrzu z całej siły zaciskając szczęki, aby się nie oderwać, nie runąć na ziemię. Powoli przywykała do takiej jazdy i spokojniej rozglądała się wokoło.

Były strasznie wysoko, pod nią przesunęły się szybko pola, łąki, rzeki, góry, trudno jej było przyglądać się im bliżej, bo zawieszona na pręcie miała wzrok obrócony ku tyłowi i ku górze. Cieszyła się jednak i z dumą myślała:

— Doskonale wszystko obmyślałam.

Słyszała też, jak kaczki, lecące za nią, chwaliły ją, mówiąc:

— Nadzwyczajnie mądra ta nasza żaba i między kaczkami niełatwo taka się znajdzie.

Leciały tak cały dzień, kacz-



ki niosące ją zmieniały się kilka razy. Były to straszne chwile. Pręcik wtedy chwiało się, drżał, żabie zdawało się, że już leci w przepaść. Kilka razy o mało nie kwaknęła ze strachu, ale nie traciła przytomności i opanowała się.

Wieczorem całe stado zatrzymało się na błocie. O świcie kaczki z żabą udały się w dalszą podróż, ale mądra, doświadczona podróżniczka, teraz lepiej mogła oglądać świat, przyczepiwszy się grzbietem i głową naprzód, brzuskiem ku tyłowi. Kaczki leciały nad zżętymi polami, pożółkłymi lasami, wioskami pełnymi stert. Do uszu ich dochodził gwar rozmów ludzkich, stuk cepów, młócących

zboże. Ludzie spoglądali ku stadu, spostrzegali w nim coś dziwnego, zadzierali w górę głowy, pokazywali na nie rękoma. Żaba pragnęła serdecznie lecieć bliżej ziemi, tak, aby ją ludzie zobaczyli i aby mogła usłyszeć, co o niej mówią.

Na następnym posterunku zapytała kaczek.

— Czy nie mogłybyście lecieć niżej? Od takiej wysokości kręci mi się w głowie. Boję się upaść.

Pocziwe kaczki zgodziły się chętnie. Stado unosiło się tak nisko, że słychać było każdy wyraz rozmowy ludzkiej.

— Patrzcie, patrzcie — wołały w jednej wsi dzieci. — Kaczki niosą żabę, to musi być nadzwyczajna żaba.

Żaba to słyszała, serce biło jej z radości.

— Patrzcie, patrzcie — wołali w drugiej wsi parobcy — to cud prawdziwy, kaczki niosą żabę.

— Czy też się domyślają, że to ja wymyśliłam? — Niepokoiła się żaba.

— Patrzcie, patrzcie — wołali gospodarze w trzeciej wsi — kto wymyślił taką sztukę, żeby kaczki niosły żabę?

Żaba nie wytrzymała, zapominając o wszelkiej ostrożności krzyknęła z całych sił:

— To ja! To ja! To ja! — i z tym krzykiem spadła na ziemię.

Kaczki zapłakały żałośnie, lecz uratować jej nie mogły.

Na szczęście nasza podróżniczka wpadła w błotnistą sadzawkę, prędko wynurzyła się z błota, krzycząc na całe gardło:

— To ja! Ja wróciłam!

Wokoło nie było nikogo. Bo nawet miejscowe żaby przestraszone niespodziewanym pluskiem, schowały się w wodę.

Powoli jednak wynurzyły łebki



— Panie kaczki — odważyła się spytać żaba — gdzie to południe dokąd wy lecicie?

Kaczki otoczyły żabę. Z początku miały ochotę ją pożreć, ale przyjrawszy się jej bliżej, zrozumiały, że za duża, przez gardło nie przejdzie. Zaczęły tedy krzyczeć, łopocąc skrzydłami:

— Na południu jest pięknie, ciepło! Jak tam nadzwyczajne błota, jakie cudne robaki! O! na południu jest pięknie!

Tak krzyczały wszystkie razem, że ogłuszyły żabę. Dopiero gdy całe stado uspokoiło się i umilkło, żaba raz jeszcze spytała cicho, najstarszej i najmądrzejszej ze wszystkich:

— Co to takiego południe?

A słuchając opowiadania o ciepłych krajach, nabrała wielkiej ochoty wybrać się tam w podróż. Za

## Przemiany jesienne

Znudziło się pająkom  
sledzić w pajęczynie,  
na strychu i na ganku,  
na krzaku lub w kominie.

A w tym samym czasie  
znudziło się klonom  
nosić wciąż takie same  
peleryny zielone.

Jabłkom się też znudziło,  
z jabłoni skakać chciały,  
a kapuście na polu  
liście podrętwiały.

Ptaki stadem odrunęły  
tam, gdzie słońce pali,  
a te, które pozostały,  
nie śpiewają wcale.

E. Sobolewska



z wody, ze zdumieniem spoglądając na hałaśliwego gościa.

Podróżniczka opowiadała bez końca jak to całe życie rozmyślała o podróżach, jak nakoniec wynalazła doskonały sposób podróżowania „kaczkami“, jak miała swoje własne kaczki, które niosły ją kiedy chciała i dokąd chciała, jak odbyła podróż do gorących krajów, jak tam pięknie, jak wielkie błota, ulewne deszcze, ile much, komarów i innych smacznych owadów.

— Przyjechałam do was, żeby zobaczyć jak wy żyjecie — powiedziała na koniec. — Pozostanę z wami do wiosny, wtedy powrócę po mnie moje kaczki, którym pozwoliłam lecieć w świat samym.

Ale kaczki nie wróciły nigdy, myślały, że żaba zabiła się, spadając na ziemię.

Przedruk z „W słońcu“

# BOĆKI - NIEUKI

Było pod koniec lata.  
Więc rzeczce Bocian — tata.  
— Kochane bocianięta,  
Niech każde z was pamięta,  
Ze odlot zbliża się,  
Leniuchom będzie źle.  
Kłopotów nie chcąc potem,  
Urządźmy przed odlotem  
Egzamin z geografii.  
Kto do Afryki trafi?  
Nie wiesz, jak lecieć tam —  
Zostaniesz tutaj sam.

Mama na gnieździe stała  
I „tak, tak“ klekotała.

Ale dzieci bocianie  
Myślą sobie — „Gadanie!  
Toć jeszcze dni gorące,  
Można tańczyć po łące.  
Rodzice straszą nas,  
Na odlot jeszcze czas“.



A więc w ciągłej zabawie  
Jeno brodzą po stawie.  
Do nocy od świtania —  
Na żaby polowania,



Choć w innych gniazdach już  
Badano przestrzeń mórz.  
Dzieci słyszą to, ale  
Powladają — „Kowale...“

Nadeszło lotów święto,  
Wnet gniazda uprzątnięto.  
Zleciały się bociany,  
Wiecują wśród polany.  
Wtem szepnął siostrze brat:  
— „Spójrz, tam profesor siadł“.  
Poprawił okulary  
Profesor, Wojtek stary...  
— „Mów, gdzie leży Afryka?“  
Bocianki strach przenika.  
— „Na ścianie... proszę pana...  
Wisi... namalowana...  
Afryka... fryka... tam“...  
— „Ja wam tu frykę dam!“ —  
Krzyknie profesor Bociek,  
Aż mały potem ociekł.

Z cichej, leśnej polany  
Odleciały bociany.  
Został tylko brat z siostrą.  
Chłód dokuczał im ostro.  
Więc on jej rzeczce: — „Wiesz?  
Pofruniem chyba też“.  
— „Dokąd?“ — „Więcej gorąca  
Pewno tam, gdzie wschód słońca“..



Lecą... Po długim locie  
Na chińskim siadły płocie.  
Aż raptem słyszą krzyki:  
— Łapać je za patyki!



— Zmykajmy!... Ani rusz,  
Bo nogi w kleszczach już.

I powiem na ostatek:  
Wsadzono je do klatek.

BENEDYKT HERTZ

Opracowała E. SŁOBODNIKOWA

## Egrybaj i Tugrybaj

Bajka uzbecka

Dawnymi czasy mieszkał w uzbeckiej wiosce młody chłopak. Nazywał się Tugrybaj<sup>1)</sup>. Był robotnikiem sezonowym i oprócz konia nie posiadał niczego. Szukał pracy w jednej wsi, w drugiej, trzeciej — nie znalazł. Dosiadł więc swego konia i pojechał w świat szukać szczęścia.

Jechał, jechał Tugrybaj. Spotkał piechurą. Rozmówili się, Zapytał go Tugrybaj kim jest i dokąd idzie.

— Udaję się na poszukiwanie pracy — odpowiedział piechur.

— Jak się nazywasz? — zapytał Tugrybaj.

— Egrybaj<sup>2)</sup>.

— A mnie zowią Tugrybaj. Bądźmy przyjaciółmi, razem mieszkaćmy, razem pracujmy!

I przyrzekli sobie nawzajem przyjaźń.

Tugrybajowi zrobiło się żal swego pieszego towarzysza i odstąpił mu swego konia. Egrybaj dosiadł konia, dzielił go batem i znikł z oczu. Tugrybaj rozpaczal: „Człowiek, któremu uważałem za przyjaciela, postąpił jak wróg!“

W głowie zaskoczonego tym wydarzeniem Tugrybaja powstał zamęt. Co tu robić dalej, kiedy już i konia nie stało? Nie było rady, powlókł się w dalszą drogę pieszo. Z nastaniem zmierzchu zgubił drogę. Spoztrzegli ścieżkę, poszedł po niej. Ścieżka przywiodła go w głąb gęstego lasu.

A było to późną jesienią. Liście opadały z drzew. Ogołoceny leśny gąszcz otaczał Tugrybaja ze wszystkich stron. Poszedł na chybił trafił.

Zapadł już zupełny zmierzch i na niebie zaśniły gwiazdy. Nagle widzi Tugrybaj stary tandyr<sup>3)</sup>. Niebezpiecznie jest chodzić nocą po lesie.

— Lepiej prześpię się tutaj, — pomyślał i wlaź do tandynu na nocleg.

A w miejscu, gdzie stał stary tan-



dyr zbierały się nocą zwierzęta: Król ogromnej puszczy lew, książę - tygrys, trębacz - wilk, flecista - szakal, bajarz - lis i wiele innych.

Gdy na niebie ukazał się księżyc, szakale zaczęły wyć i tańczyć wokół tandynu. Na zew ten zeszyły się wielkie leśne zwierzęta. Oto przybył król - lew. Usiadł na swym miejscu, rozkazał leśnemu ludowi weselić się.

Na znak dany przez lwa bajarz-lis, pierwszy zaczął swą opowieść: — Przyjaciele, na skraju tego lasu znajduje się górska jaskinia. Dziesięć lat już służy mi jako schronisko. Wszystko, co tylko posiadają ludzie

można też znaleźć w moim domu. Dziesięć lat gromadzę tam wszelki dobytek: dywany, kilimy, kołdry, makaty... smacznych potraw bardzo wiele.

Tugrybaj w swym ukryciu pomyślał sobie: „Oho! niezgorzej byłoby odwiedzić tego lisa“.

„Dom twój nie taki znów ciekawy“ — powiedział szakal — ale niedaleko stąd, pod pagórką mieszka szczur. Co dzień w południe obserwuję go: w norze czterdzieści i jeden złotych monet. Wyciąga je

nich napoił dziewczynę, wyzdrowiała by natychmiast.

A oto zaczął opowiadać wilk:

— Przyjaciele! ja mogę opowiedzieć wam coś ciekawego. Na skraju tego lasu pasie się stado bogatego gospodarza składającego się z 40 tysięcy owiec. Co dzień zjadam po dwie. Wszelkimi fortelami usiłowałem mnie złowić, nic nie pomogło. Niedaleko stąd na pagórku mieszka starzec. Ma psa. Gdyby ten pies pilnował stada, to pozostałyby ze mnie tylko szczątki.

Przemówił tygrys:

— Gospodarz, o którym opowiadał wilk posiada 10 tysięcy koni. Pasą się one na skraju lasu. Co dzień zjadam po 1 koniu. W stadninie tej znajduje się i źrebię białoczarnej maści, gdyby ktoś dosiadł go, wziął do rąk powrót końskiego włosa i grubą żerdź, udałoby mu się zarzucić mi pętlę na szyję. Żerdzią zaś tak zbilby mnie, że nigdy więcej nie zbliżałbym się do stadniny. Nikt nie wie, że najbardziej dla mnie niebezpiecznym wrogiem jest właśnie to białoczarne zwierzę.

Switało już, gdy tygrys skończył to opowiadanie. Wszystkie zwierzęta rozeszły się do swych legowisk.

Tugrybaj wylazł z tandynu i poszedł do nory lisa. Widzi — wszystkiego tam wbród, a że był głodny wziął zaraz mięsa, sadła i ryżu i zabrał się do gotowania najulubieńszej w tym kraju potrawy zwanej płowem. Ugotował Tugrybaj i dobrze sobie podjadł.

Odszukał także karagacz, o którym opowiadał niedźwiedź. Narwał trochę liści, potem poszedł do owczego stada. Znalazł pastucha, przywitał się z nim i zapytał co u niego słychać. Pastuch poskarżył się:

— Złe mi się wiedzie wilk stale porywa mi barany. Gospodarz mi tego nie przebaczy, a ja w żaden sposób nie mogę się pozbyć wilka.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Wielu lekarzy ukarał już padyśkach. Otóż jeśli by ktoś narwał liści z tego karagacza i odwarem z

3) tandyr — piec do wylekania płaczków.

1) Tugry — prosty, prawy.  
2) Egry — krzywy, nieuczciwy.

L. KRZEMIENIECKA

# O Krasnalach, o przyjęciu o boćku i jego zięciu

U krasnali dziś przyjęcie. Ma być bociek ze swym zięciem. Więc krasnale od świtania czynią już przygotowania.

I zrobili smaczną, zdrową, wonną papkę owocową. Wymieszali, doprawili, na stoliku ustawili.

A ten stolik to był z pieńka i za-

klekotali chwilę małą. Dobrze im się klekotało: o tym morzu, o szerokim, o podróży pod obłokiem, o Afryce, krokodylu i o innych rzeczach tyłu.

Wreszcie proszą ich krasnale, żeby papki spróbowali, że to przysmak nad przysmaki, że nie jedli jeszcze takiej.

— Musisz przyznać, drogi zięciu, że choć wonna jest ta papka, milszą by nam była żabka.

— Kle, kle... na zieloną żabkę miałbym teraz wielką chrapkę.

Zgryźli się krasnale nasi.



Ten się wierci, ów się kręci, bo wciąż mają to w pamięci, że to dzisiaj jest przyjęcie. Ma być bociek ze swym zięciem.

Jeden krasnal wbiegł do sadu.

Spojrzał, gruszka spadła na dół.

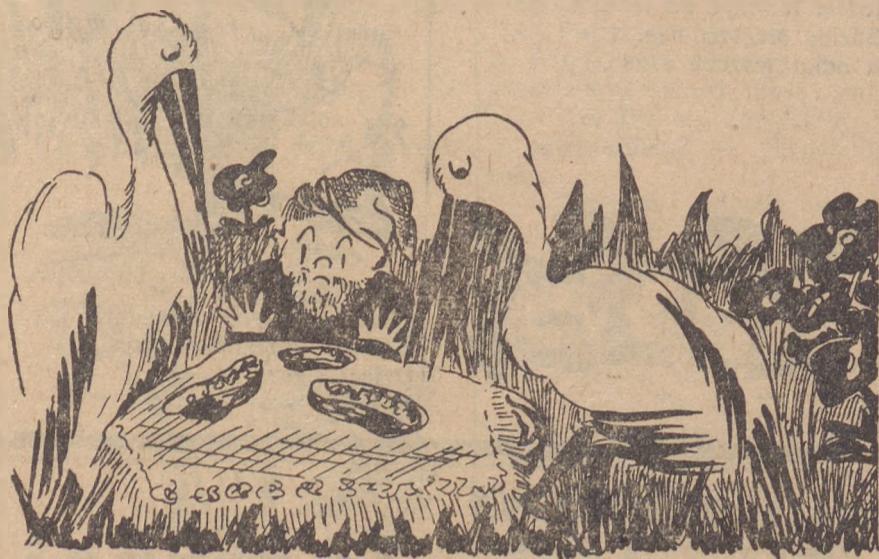
Chwycił taczkę - zabaweczkę i do domu pcha gruszczykę.

Braciszkwowie jego mali winne grono przydzwigali. Grono osrebrzone rosą na badytu żwawo niosą.

stawa też maleńka: miski, wazki, inne statki z kapelusza surojadki.

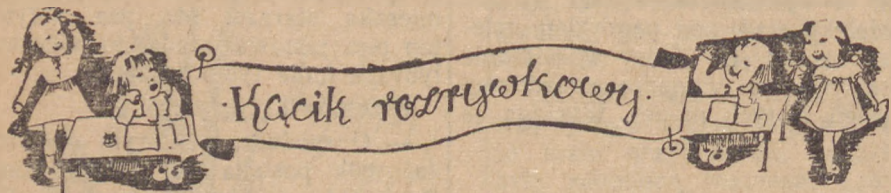
Szumy skrzydeł słychać w dali. Lecą goście do krasnali. Leci, leci na przyjęcie siwy bociek ze swym zięciem.

Rozsiedli się przy stoliku, każdy w białym żupaniku.



Goście w papkę dziób wetknęli. Ani zdziebka nie przełknęli. Stary bociek dziobem kręci:

Przykro, kiedy gość grymasi. I urządzaj tu przyjęcie dla boćka i jego zięcia.



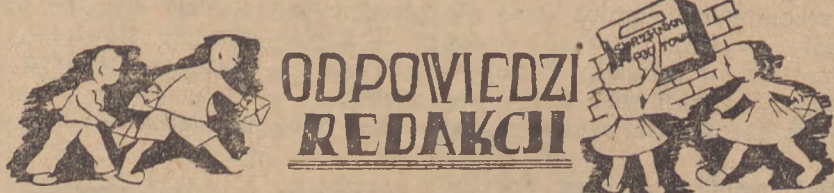
## ZAGADKI

- Obracał do słonka główkę swoją złotą; dziś jego nasionka chrupiecie z ochotą.
- Latem zwykle traci swoje panowanie, lecz wnet je odzyska, gdy zima nastanie.
- Maleńki łebek, spiczasty ryjek, potrzebna Ewie gdy mierzy, szyje.
- Ma kłującą nóżkę, w górze jedno uszko; często do pomocy wzywasz ją, dziewczuszko.
- Równy, porządnie, zręcznym sposobem drelich, czy sukno ostrym tnie dziobem.
- Grządką w swym ogródku spulchniła nią Ada; czasem, choć w przenośni, do głowy nią wkładasz.

## SZARADY

- Trzecia — druga — trzecia, do kubka już kawa, więc wypić ją zaraz bądź, matuś, łaskawa. Pierwsze — drugie dzisiaj pustką wokół świecą; nad nimi żurawie równym kluczem lecą. Całe, kiedy zima przyjdzie do nas z dali, mama na kominku, albo w piecu spali.
- Pierwsze — drugie — pół pierwsze mój mały, bułany zanieś mnie na spacer w świat słońcem skąpany. Gdy chcesz o coś zapytać, wnet użyjesz trzeciej; czwarte w przyimków rzędzie z łatwością znajdziecie. Trzecim, pół-czwartej pięknym wstawiają się ludzie. Całą chrupie bułanek po pracy, po trudzie.

Rozwiązania szarad i zagadek z poprzednich numerów zostaną zamieszczone w następnym numerze.



Lilia i Blanka Gałązka, W-wa.

Bardzo to miłe z Waszej strony, że piszecie do nas stale. Czytajcie uważnie „Świat Dzieci“, konkursy ogłaszane są stale. Powodzenia w nauce.

Reginka Bulczakowska w Koszalinie.

Bardzo ładne twoje opowiadanie o wiewiórce. Tylko dlaczego nazywałaś swoją ulubienicę „myszką“? Czy masz jeszcze jakie zwierzątka w domu? Napisz do nas znowu niezadługo.

Tadzio Grabowski we Wrocławiu.

Pisziesz, że interesuje Cię sport „najbardziej w świecie“. We Wrocławiu masz dużo sposobności do uprawiania sportu, są tam korty i boiska. Może napiszesz, jaki sport Cię najbardziej interesuje — albo opisz jakiś ciekawy mecz czy rozgrywkę tenisowe. Czy należysz do harcerstwa?

Janusz Kaliciński w Warszawie.

Adres Związku Walki Młodych — Marszałkowska 18. Nazywasz siebie „czerwonym chłopcem“ — i chciałbyś znaleźć sobie towarzyszy „podobnych przekonani“. Zgłoś się pod powyższy adres.

Zosia Malinowska w Milanówku.

Naturalnie, że możesz nas od-

wiedzieć, jak będziesz w Warszawie. Adres taki sam jak „Głos Ludu“ — Smolna 12. Cieszymy się, że podobna Ci się „Świat Dzieci“.

Kazio Karwowski w Łodzi.

Pisziesz, że od czasu jak czytasz naszą gazetkę, czujesz, że „zmałdzałeś“. Im więcej się czyta, tym bardziej się mądrzeje. Nie tylko dzieci, ale i dorośli. Bo uczyć się trzeba całe życie. Pozdrawiamy Cię serdecznie. Jesteś myślącym chłopcem.

Marysia Nowicka w Garwolinie.

Czy masz duży zbiór znaczków pocztowych? Polskich czy zagranicznych? Może które z dzieci również zbiera znaczki i chciałoby zamienić się z Marysią? Prosimy listy w tej sprawie kierować do Redakcji naszej gazetki dla Marysi — albo z napisem na kopercie „Znaczki pocztowe“.

Cesia Czamańska w Zalesiu.

Pisziesz, że czytasz naszą gazetkę na głos choremu braciszkwowi, i że najbardziej lubisz ładne wierszyki. Nie możesz się skarżyć na to, że w naszym piśmie zbyt rzadko drukuje się wiersze. Są wśród nich takie, które na pewno podobają się twemu małemu braciszkwowi.